Piernik, panna Izabela i dyskrecja na stadionie

data aktualizacji: 2026.09.21 autor: Anna Wójcik-Brzezińska



Święto Kwiatów, Owoców i Warzyw jest jak piernik. Rzecz cała w intonacji. Można powiedzieć „piernik" z taką czułością, że od razu chce się nastawić wodę na herbatę. Można też tak, że wypadałoby czym prędzej przewietrzyć mieszkanie. Ja, zależnie od pory dnia i stanu cierpliwości, posługuję się obiema intonacjami.

Przyznajmy, powtarzalność cholernie nudzi. Znów święto, znów kwiaty, znów krzak niesiony przez miasto z miną człowieka, który dokonał korzystnej inwestycji. Znów kiełbasa, ten niezawodny dowód, że człowiek może obcować z kulturą, zachowując kontakt z musztardą. Na wierzchu nowy lukier, inne nazwisko na afiszu, inny kolor świateł; pod spodem ciasto znajome do ostatniego goździka.

Chciałoby się czegoś nowego. Dopóki ktoś nie zaproponuje, żeby piernika w ogóle nie było.

Wtedy proszę zobaczyć, jak szybko odzyskujemy przywiązanie do tradycji. Jak to, nie będzie? Naszego? Tego, na który narzekamy od tylu lat? Człowiek przygotował przecież uwagi, dopracował ton rozczarowania. I teraz miałby zostać z tym wszystkim w domu!?

Demokracja zaczyna się zapewne właśnie przy stole. Ktoś oznajmia, że piernik mu się przejadł,

większość prosi o następny kawałek. Mniejszość również bierze, zastrzegając, że wyłącznie dla porównania z zeszłorocznym. Należę do tej mniejszości. Zjem, ale opinii nie zmienię. Człowiek powinien mieć jakiś kręgosłup.

Nie będę jednak opowiadała o rachunkach grozy za kiełbasę ani zaglądała Państwu w doniczki, żeby sprawdzić, ile kosztowała chwila ogrodniczego uniesienia. Paragon jest łatwym przeciwnikiem, nie odpowiada. Mnie bardziej zajmuje pytanie, czy nasze święto można jeszcze lubić, wiedząc o nim właściwie wszystko.

Zadajmy podobne pytanie małżeństwu z pięćdziesięcioletnim stażem. Czy mąż na widok żony wydaje ten sam okrzyk co w narzeczeństwie? Czy ona, usłyszawszy klucz w zamku, biegnie do lustra? Jeżeli tak, nie wypytujmy o szczegóły; może właśnie odkryli coś, czego literatura nie zdążyła opisać. Zwykle jednak wiedzą już, jak się druga osoba zachowa, co powie i w którym miejscu westchnie. Można by nawet westchnąć za nią, oszczędzając jej fatygi.

A jednak gdy jedno nie wraca o zwykłej porze, drugie zaczyna wyglądać przez okno.

Otóż nasze święto też ma u nas swoje kapcie. Znamy jego zwyczaje, pretensje, repertuar. Czasem przysięglibyśmy, że nawet ziewa o tej samej godzinie. Ale we wrześniu wyglądamy, czy idzie.

Proszę tylko nie brać tego za zgodę na wszystko. Z faktu, że małżonka zostaje, nie wynika jeszcze, że można już do końca życia nie słuchać, co mówi. Wieloletnie przywiązanie jest dość delikatną materią, by nie traktować go jak gwarancji z urzędową pieczątką. Również piernika warto czasem spróbować, zanim poleje się go lukrem. Może potrzebuje więcej przypraw? Może mniej dekoracji? A może ktoś od lat piecze go wyłącznie z pamięci i nie zauważył, że zgubił połowę przepisu?

Na obronę piernika przywołam jeszcze Ciastka ze „Shreka”. Ten nadkruszony bohater ma charakter większy od swoich rozmiarów. Nie potrzebuje co chwila nowej polewy, żeby skupiać uwagę. Wystarczy, że się odezwie. Oto pewna wskazówka dla wszystkich zajmujących się odświeżaniem tradycji: warto sprawdzić, czy pod dekoracją zachował się głos.

Zresztą nasze żądanie nowości wygląda osobliwie, kiedy przenieść je spod estrady przed ekran. Tam właśnie czekamy na kolejną „Lalkę”. I to w podwójnej porcji – serial Pawła Maślony jest już na Netfliksie, film Macieja Kawalskiego z Marcinem Dorocińskim jako Wokulskim ma wejść do kin 30 września. Prus, jak widać, daje się podawać częściej niż raz do roku.

Serialu jeszcze nie tknęłam. Redakcyjny kolega ogląda, ja słucham jego relacji z teatralną obojętnością osoby, która mogłaby mieć zdanie, ale chwilowo powstrzymuje się z wyższych pobudek. Jednocześnie zabraniam mu zdradzać szczegóły. Na wszelki wypadek. Gdyby mnie naszło.

Proszę docenić rozmiar tego osiągnięcia, obawiam się spoilerów do „Lalki”. Znam powieść, znam bohaterów, wiem, czym grozi wpuszczenie Starskiego do przedziału, a jednak strzegę swojej niewiedzy jak dziewczę wianuszka. Najwidoczniej istnieje we mnie nadzieja, że tym razem wszystko ułoży się inaczej. Człowiek czytał Prusa, ale nie zamierza z tego powodu rezygnować ze złudzeń.

Przy wersji kinowej mam zresztą kłopot osobny, natury poważnie literackiej. Dorociński jest za piękny na Wokulskiego!

Rozumiem bariery klasowe. Rozumiem pychę salonu, kult nazwiska, odrazę do handlu przejawianą przez ludzi, którzy z największą przyjemnością korzystają z jego dochodów. Wszystko to rozumiem znakomicie, dopóki nie spojrzę na Dorocińskiego. Wówczas moja wiedza o społeczeństwie dziewiętnastowiecznym zaczyna niepokojąco ustępować miejsca osobistym zastrzeżeniom do gustu

panny Izabeli.

Tu łapię się za rękę. Dopiero co narzekałam na lukier, a wystarczyło, żeby lukier miał twarz Dorocińskiego, i już gotowa jestem ingerować w konstrukcję arcydzieła. Przy pierniku postuluję odwagę, przy „Lalce" pilnuję przepisu, po czym sama chciałabym wyjąć z niego najważniejszą gorycz. Wymagająca publiczność to doprawdy bardzo trudna osoba. Zwłaszcza kiedy mieszka w człowieku na stałe.

Może więc, zanim kolejny raz orzekniemy, że wszystko już było, należałoby ustalić, czego właściwie oczekujemy. Nowego programu? Nowego spojrzenia? Czy może dawnego wzruszenia, które ma wrócić na zawołanie, nie zważając, że przez ten czas zdążyliśmy się trochę zmienić? Organizator może sprowadzić inną gwiazdę. Z przywróceniem nam pierwszego zachwytu będzie miał więcej zachodu.

A przecież stara opowieść potrafi jeszcze coś człowiekowi zrobić. Nawet mnie, tak starannie znudzonej, każe zabraniać koledze opowiadania dalszego ciągu. Może i nasz piernik ma jeszcze podobne możliwości, jeśli przestaniemy wymagać od niego cudu odmłodzenia, a zaczniemy wymagać smaku.

„Lalka" pozwala zresztą wrócić do Skierniewic bez szczególnej ekwilibrystyki. To na naszej stacji Wokulski wysiada po rozmowie, której panna Izabela i Starski nie przeznaczyli dla jego uszu. Znajomość angielskiego okazała się przydatna; ze złudzeniami poszło gorzej. Prus urządził nam w ten sposób nader surową lekcję odróżniania ukochanej osoby od własnego wyobrażenia o niej.

Z miastem też warto spróbować. Lubić je, widząc, jakie jest. Przyjść na święto, rozpoznać znajomy smak, a potem powiedzieć, że w tym miejscu cukiernik mógłby się bardziej postarać. Bez konieczności ogłaszania rozwodu i bez podpisywania dożywotniej zgody na zakalec.

Żeby jednak Państwo nie pomyśleli, że z tej miłości zamierzam się poprawić. Listę zastrzeżeń mam przygotowaną i byłoby niegospodarnością jej nie wykorzystać. **Tłum dowodzi, że święto zrobiło się nieznośne; brak tłumu dowiódłby, że się skończyło. Dawni wykonawcy są odgrzewani, nowi nie wiadomo skąd. Gdy znam wszystkie piosenki, żądam świeżości. Gdy nie znam żadnej, zastanawiam się, komu to potrzebne.** Mój gust ma szerokie horyzonty, pod warunkiem że nic się zza nich nie wyłania.

W minionym tygodniu podano, że na weekend będą bezpłatne autobusy, dodatkowe kursy po koncertach i zamknięte ulice. Popieram miasto dla pieszych, zwłaszcza kiedy piesi nie wchodzą mi pod samochód. Domagam się wyprowadzenia ruchu z centrum, z pozostawieniem jednego niewielkiego korytarza, którym mogłabym podjechać pod własne przekonania. Autobus jest rozwiązaniem znakomitym. Zawsze gorąco polecam go innym.

Były też w zapowiedziach balony nad Skierniewicami. Bardzo dobrze, niech ktoś w tym mieście trzyma poziom, ja mogę patrzeć z dołu i oceniać, czy dostatecznie wysoko. Narzekanie daje zresztą podobną przyjemność co lot balonem, człowiek czuje się ponad wszystkim, choć zasadniczo unosi go gorące powietrze.

A potem czytam o miesiącach przygotowań do parady, o strojach i dekoracjach opłacanych przez mieszkańców z własnej kieszeni i robi mi się trochę niewygodnie. Oni coś szyli, uzgadniali, wymyślali. Ja zdążyłam uzgodnić ze sobą, że znów będzie to samo. Moja praca nad świętem była mniej czasochłonna, za to stanowisko mam gotowe do publikacji. Przydałaby się osobna grupa w korowodzie – ludzie, którzy niczego nie przygotowali, ale wiedzą, jak należało. Poszłabym na czele. Oczywiście bez stroju. Nie lubię, kiedy mnie do czegoś zmuszają.

Podczas otwarcia był też symboliczny klucz do osady pałacowej, przekazany prezydentowi przez dyrektora instytutu, i zaproszenie na wystawę do dawnej siedziby prymasów. **Pałac otwierał się przed publicznością. Wieczorem przed tą samą publicznością należało najwyraźniej zamknąć aparat.**

Oto bowiem przyjechał Bajm z Beatą Kozidrak. Wstęp wolny, nazwisko znane, scena główna. Wszystko sprzyjało spotkaniu, aż przed występem pojawił się komunikat o zakazie rejestrowania obrazu i dźwięku. Na ekranie, wśród kwiatowych dekoracji, widniało: „Zakaz fotografowania, filmowania". W mediach społecznościowych również zabrano się do pouczania widzów. Radio RSC opublikowało zdjęcie zakazu z ostrzeżeniem, że na koncercie obowiązują zasady.

Przyznam, że takiej odmiany anonimowości jeszcze nie znałam. Incognito z nagłośnieniem. Dyskrecja na stadionie. Osoba powszechnie rozpoznawalna, której przyjazd ogłasza się publicznie, ma zostać dyskretnie przeoczona przez obiektywy. Można podziwiać, byle nie utrwalać. Legenda życzy sobie świadków, lecz z ograniczoną pamięcią zewnętrzną.

Rozumiem prośbę o schowanie telefonu i wysłuchanie piosenki. Sama nie przepadam za oglądaniem koncertu przez ekran człowieka stojącego przede mną. Taka prośba mogłaby być początkiem porozumienia, dajmy sobie ten wieczór, posłuchajmy się nawzajem. Tablica z zakazem urządza z tego samego spotkania odprawę dyscyplinarną. Jeszcze chwila, a przed bisem sprawdzą nam zeszyty.

Znam też niechęć do nieuzgodnionego wizerunku. Kiedy ktoś robi mi zdjęcie z zaskoczenia, natychmiast nabieram wątpliwości co do bezstronności fotografii. Dlaczego obiektyw uwziął się akurat na tę twarz, skoro mam o sobie znacznie korzystniejsze zdanie? Oglądam ujęcia z surowością inkwizytora. Herezją jest przypuszczenie, że tak właśnie wyglądam. Mam jednak pewien kłopot organizacyjny, moje lustro nie dysponuje biurem prasowym, które mogłoby zażądać sprostowania.

Dlatego nie lekceważę gwiazdorskich rozterek. Widzę w nich własną próżność po otrzymaniu odpowiedniego budżetu. Mnie też marzy się życzliwe spojrzenie świata, najlepiej wcześniej zatwierdzone. Chciałabym tylko, żeby ktoś w całym tym przedsięwzięciu zachował poczucie proporcji. Choćby organizator, zanim zacznie wychowywać mieszkańców do właściwego obchodzenia się z cudzym majestatem.

Tym zabawniej czyta się teraz opublikowaną przed świętem opowieść o opolskim występie Kozidrak w 1978 roku. Młoda wokalistka odrzuciła przygotowaną przez telewizję suknię, wybrała białe spodnie i żywe kwiaty. Zespół schował się w garderobie i wybiegł dopiero po zapowiedzi, żeby nikt nie zdążył narzucić mu cudzego pomysłu. Piękna historia o swobodzie. Po latach kwiaty zostały; swoboda najwyraźniej wymaga już oddzielnej akredytacji.

Molier miałby z tego porządną scenę. Bohaterka, która zdobywa nasze serca buntem przeciw ceremoniałowi, obrasta dworem pilnującym ceremoniału. A dwór, jak to dwór, w końcu uznaje, że najważniejszym zadaniem publiczności jest wiedzieć, gdzie jej miejsce. Człowiek przychodzi na piosenki, a trafia na przyśpieszony kurs etykiety wersalskiej z sadzonką pod pachą.

Wielki dorobek powinien pozwalać na odrobinę swobody także po drugiej stronie sceny. **Jeżeli dalsze występowanie ma wymagać coraz skrupulatniejszego nadzoru nad widownią, pożegnalny ukłon zaczyna wyglądać na rozwiązanie bardziej eleganckie. Trudno z godnością rozstać się ze sceną; jeszcze trudniej zostać na niej z wdziękiem, kiedy każde nieuzgodnione spojrzenie urasta do problemu.** Oklaski można przyjmować przez całe życie. Warto przy tym nie traktować klaszczących jak służby zobowiązanej do dyskrecji.

Panna Izabela byłaby zachwycona. Tyle uwielbienia i tak wyraźnie wytyczona granica poufałości.

Zresztą i ja przed chwilą chciałam mieć miasto pełne ludzi, pod warunkiem że zostawią mi wolne miejsce do parkowania. Różnica skali jest ogromna, pokrewieństwo duchowe – odrobinę krępujące.

Najpiękniejsze jednak, że zakaz fotografowania dotarł do nas na fotografii. W dodatku w świątecznej, kwiatowej oprawie. Tak oto do owoców i warzyw dołączył dorodny absurd, wyhodowany bez pomocy instytutu. Tydzień opowiadania o wspólnym święcie, zapraszania, pokazywania, zachęcania, a potem ten jeden obrazek – proszę się cieszyć, lecz nie naciskać. Sama nie wymyśliłabym celniejszej ilustracji.

Organizatorzy już pytają, kogo chcemy usłyszeć na przyszłorocznej, pięćdziesiątej edycji. Właściwy moment, by zgłosić własną kandydaturę. Narzekać umiem bez playbacku, repertuaru gotowy.

MOŻE CIĘ ZAINTERESOWAĆ:

Marynarka męska – obowiązkowy element garderoby eleganckiego mężczyzny

Źródło: https://eglos.pl/aktualnosci/item/45722-piernik-panna-izabela-i-dyskrecja-na-stadionie